Zeszyt 6. Rok I.



Lwów 14. Marca 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7·40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.

IX.

(C. d.) Mina nudziła się bardzo w tem smutnem i wiecznie cichem mieszkaniu. Joanna albo była w kuchni, doglądając obiadu, albo siedziała w stołowym pokoju zajęta robotą nie kończącej się nigdy pończochy. Mina czuła, że ma w niej nieprzebłaganą, nie dającą się niczem ująć nieprzyjaciółkę. Nieraz i ona wzięła jaką robótkę i usiadła wprost Joanny, usiłując zawiązać rozmowę, która co chwila jednak się rwała, ustawała i wtedy następowała posępna, nieznośna dla żywej natury dziewczyny cisza, przerywana tylko odgłosem ciężkich stąpań Katarzyny w sąsiedniej kuchni i tykotaniem starego zegara na ścianie.

Po scenie w pokoju Millera, nad którą Mina długo myślała i myśląc rumieniła się, Julek przez kilka dni z rzędu nie pokazywał się wcale. Dziwiło ją to bardzo. Nazajutrz już nie czuła doń żadnej urazy, zwłaszcza, że cóż on tu był winien? Po cóż była tak niezgrabną, że się zaplątała w dywan i upadła, jeszcze na wznak? Nie jego wina, że i on się potknął i upadł także. Postąpiła z nim trochę niegrzecznie, to prawda, ale była rozgniewaną na swą niezgrabność, na niego, na wszystko. Ale teraz już o tem zapomniała. W jej żywej, ognistej naturze wrażenia odbijały się silnie, ale prędko nikły. Zapomniała już o tem zupełnie i tęskno jej było za tym wesołym, swobodnym, a przecież tak głęboko zrozpaczonym młodzieńcem. Czuła zresztą, że ją kocha, powiedział jej to przecież i to jej pochlebiało. Ale po za tem miłość ta nie ma żadnych szans powodzenia. Wiedziała czego się ma trzymać względem Julka. Wszak Miller mówił jej o jego lenistwie, o jego niechęci do pracy, o braku majątku i stanowiska. Takiego męża, choćby ją niewiedzieć jak kochał, ona nie chce. Ona chce być bogatą, mieć piękne mieszkanie, powozy, służbę, dużo pieniędzy. Dość już ma nędzy i ubóstwa i wszystkich brzydkich stron jego. Choćby ów mąż ją ubóstwiał, choćby był dziesięć razy piękniejszym od Julka i bardziej jeszcze ciekawy jak Julek, ze swą duszą przepełnioną smutnym pesymizmem, ona za niego nie pójdzie.

Tak sobie rozmyślała, błądząc po pustych pokojach mieszkania, lub siedząc nad robótką wprost milczącej, groźnej, posępnej Joanny. W tem milczeniu, w tej ciszy, w tych rozmyślaniach, na dnie których podnosiła głowę świadomość złego i dobrego, nabyta ze znalezionych przypadkiem książek, budząca się chęć użycia świata i wszystkich jego rozkoszy burzyła jej krew, buntowała ją przeciw tej śmiertelnej nudzie panującej w tym domu posępnym, podobnym do klasztoru lub więzienia. To też chodziła smutna, zniechęcona, rozdrażniona.

Ożywiała się dopiero wieczorem, gdy przychodził Miller i włożywszy pantofle, zasiadał wygodnie w fotelu, zapalał cygaro i gwarzył o najrozmaitszych przedmiotach i rzeczach, zaprawiając wszystko swym zdrowym rozsądkiem, praktycznym poglądem na świat i pewną oryginalną, właściwą sobie poezją w wyrażeniach. Mina zwykle słuchała go, śmiała się, trzpiotała.

Raz jednak rzekła mu:

— Wiesz wujciu, strasznie tu u was nudno i smutno.

Spojrzał na nią swemi maleńkiemi, zielonemi oczami, pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Masz rację, Mino, że tutaj u nas jest smutno i nudno. Zapomniałem o tem, że ty jesteś młodą i potrzebujesz rozrywki. Dobrze, żeś mi to przypomniała. Jutro pójdziemy do teatru, a za tydzień wyprawię bal, bal świetny co się zowie. Starego Millera stać na to.

— Do teatru, wujaszku — zawołała Mina, klaszcząc w ręce — ach jak to dobrze! Ja tak dawno nie widziałam teatru.

— Zobaczysz go jutro. Teatr warszawski ma sławę, ma wybornych aktorów i aktorki. Napiszę zaraz do Zaremby, który ma tam jakieś stosunki z teatrem, żeby mi przysłał lożę i doniósł co jutro grają. Zabawimy się wybornie.

— A ciocia Joasia pójdzie?

— Zaproponuję jej, ale wątpię, żeby poszła. Ona nie lubi zabaw. Przypomina mi swem obejściem i swym umysłem pogrążonym zawsze w ponurych rozmyślaniach, w rozpamiętywaniu czarnych stron życia owych fanatycznych purytanów szkockich, których tak mistrzowsko narysował Macauley w swej historji Anglji. Czytałaś to dzieło, Mino?

— Nie, wuju....

— Szkoda, ja je mam. Musiałaś je znaleźć w bibliotece?

— Tak.

— To przeczytaj sobie.

Ale w tej chwili nie obchodziły ją żadne, choćby najlepiej napisane dzieła, żaden Macauley i żadni purytanie szkoccy, ona pragnęła zbadać stosunki Millera do Joanny, wiedzieć czego się ma pod tym względem trzymać. Chciała się dowiedzieć, czy to rodzeństwo, ten brat tak rozumny i tak poetyczny, i ta siostra tak surowa, tak ograniczona i tak ponura, kochają się i znoszą wzajemnie. Ale Miller mówił już o czem innem, o balu, który chciał wydać w przyszłą sobotę.

— Czy masz Mino suknię? — pytał — bo będzie dużo osób z najpierwszych i najlepszych sfer tutejszego miasta. Jeżeli nie masz, to powiedz. Chcę, byś pięknie i dobrze wyglądała. Jesteś młodą i ładną, jesteś moją kuzynką, to dosyć powodów, zdaje mi się, żebyś mówiła ze mną szczerze...

— Nie mam wuju żadnej sukni, w której mogłabym wystąpić na tak wielkie przyjęcie.

— To dobrze. Jutro poszlę Lapego do której pierwszorzędnej marszandki, bo z Joanną nie ma co o tem mówić... Wszystko będzie dobrze.

Zapalił przygasłe cygaro i pogrążył się w czytaniu *Gazety Szląskiej*, którą trzymał, jedyną z niemieckich.

Jakoż nazajutrz zjawiła się owa marszandka i przyniosła ze sobą całą pakę próbek na suknie. Mina wybrała materję a krawcowa wzięła miarę.

Joanna widziała to i po południu, gdy Mina przyszła jak zwykle do stołowego pokoju z robótką, wprost ją zapytała swym surowym, suchym tonem, po co u niej była modniarka?

— Wzięła mi miarę na suknię, którą wuj chce żebym miała na balu w przyszłym tygodniu.

— Na balu? na jakim balu? — pytała Joanna.

— Jak to, ciocia nie wie? przecież wuj ma zamiar wydać bal w przyszłą sobotę.

Joanna nic nie odrzekła, ale gwałtowne migotanie jej drutów zdradzało wewnętrzne oburzenie. Bal ma być u nich, w ich domu cichym i spokojnym, bal, o którym ona, gospodyni, dotąd nic nie wie, bal, który pociągnie za sobą niesłychane koszta i wydatki. I dla kogoż ten bal? dla tej oto pustej dziewczyny, dla tej przybłędy, mieniącej się kuzynką. Oburzyła się do głębi duszy; wszystko w niej wrzało.

— Czy ciocia pójdzie dziś z nami do teatru?

— Co to znaczy: z nami? — zapytała hamując się Joanna.

— Z wujem i ze mną.

— Nie. Najprzód, nie chodzę nigdy do teatru, jestem protestantką i teatr jest dla mnie „jaskinią djabelską“, miejscem zepsucia. Potem nie mam na to pieniędzy. Teatr jest bardzo kosztowną zabawką i dziwię się bardzo, że Fryderyk pragnie marnować grosz, którego nie ma do zbytku...

Umilkła i więcej już nic nie mówiła, odpowiadając zaledwie monosylabami na pytania Miny. Siedziała wyprostowana w swej ciemnej, wełnianej sukni, z lekkiemi wypiekami na surowej i zimnej twarzy. Pończocha w tym dniu w sposób niezwykły i gwałtowny posuwała się naprzód.

Wieczorem, gdy się zjawił Miller i gdy Mina nie była obecną, zapytała go Joanna swym ostrym, surowym tonem:

— Podobno idziesz dziś do teatru, Fryderyku?

— Ach tak, zapomniałem cię się zapytać, czybyś z nami nie poszła? Grają wyborną sztukę, jak mi pisze Zaremba. Cóż, pójdziesz Joe?

— Nie! Wiesz, że nie chodzę nigdy do teatru, i powiem ci szczerze, że nie rozumiem, jak możesz tak marnować pieniądze...

Miller zatrzymał się na środku pokoju, po którym chodził, spojrzał na siostrę i rzekł:

— Nie jest to najprzód żadne marnotrawstwo, a potem, stać mię nietylko na kilka rubli, ale nawet na kilkadziesiąt tysięcy, gdybym je chciał wyrzucić dla rozrywki. I jeszcze wtedy nie byłbym zrujnowany. Potem robię to dla Miny. Biedne dziecko, nudzi się tu w tym naszym pustym i smutnym domu.

— Więc i dla niej chcesz wydać bal w przyszłą sobotę?

— Tak, dla niej... chcę by się nieco rozerwała...

— Czy to stanowcza twa wola, Fryderyku?

— Stanowcza, Joe.

— Dobrze, skoro tak chcesz, ale ostrzegam cię, że pieniądze łatwo stracić, ale trudno je nabyć.

— O! jeśli o to ci chodzi, nie lękaj się, nie tak prędko je stracę. Zresztą dla kogoż ja mam te pieniądze chować? Czy dla dzieci, których nie mam... dla kogo? Skoro więc mamy w domu młodą kuzynkę, niechże się ona nie nudzi u nas, ale zabawi choć trochę....

— Nie sądzę, by się ona nudziła.

— Och, przecież pod tym względem żadnej wątpliwości być nie może. Czemże się tu rozerwie? czy z tobą, co zawsze milczysz, albo siedzisz w kuchni? Mnie także cały dzień nie ma w domu, a choćbym i był, to zdaje mi się, że oboje nie jesteśmy zbyt przyjemni....

— Ma ona się z kim rozerwać....

Miller znów stanął i spojrzał ostro na siostrę.

— Co to znaczy, Joanno?

— To znaczy, że prawie codzień tu bywa pan Juljan Zaremba i przepędza sam na sam z Miną po kilka godzin. Nie wiem co oni tam robią, ale słyszę tylko śmiechy, zbyt głośne może, a Mina zawsze po takiej wizycie ma mocno pałającą twarz...

— Joanno, mówisz niedorzeczności, przypuszczając, bo przypuszczasz to, że między Miną a Zarembą dzieje się coś takiego, coby się dziać nie powinno. Gdyby jednak tak było, to cała wina spada na ciebie. Twoim obowiązkiem, jako pani domu, mieć oko na Minę. Nie powinnaś jej nigdy zostawiać samej z Zarembą. Odtąd chcę, żebyś zawsze przy jego wizytach była obecną. W przeciwnym razie wypowiem mu dom. Taka jest moja wola, rozumiesz, Joanno.

— Jesteś tu panem i wolno ci rozkazywać — odrzekła, zaciskając usta.

Rozmowa ta zostawiła w duszy Millera pewien nieprzyjemny kwas, pewne udręczenie. Oburzony był do głębi na tego Julka Zarembę. Przyszedł do siebie, siadł na fotelu i pogrążył się w zadumę. Myśl, która niedawno w nim powstała, z razu odtrącona ze śmiechem pogardliwym, obecnie znów podniosła głowę i zmuszała do zastanowienia się. Z niechęcią zajmował się tą myślą, wstydził się jej sam przed sobą ale ostatecznie zajmował się nią. Siedział, palił cygaro, puszczał błękitny dym, a przez okno, z poza średniowiecznych szczytów domów staromiejskich zakradał się księżyc i blade srebrne promienie słał do ciemnego pokoju.

Nareszcie, gdy nadszedł czas, wybrał się z Miną do teatru.

Do loży przyszedł zaraz młody Zaremba, którego Miller przyjął trochę kwaśno, a Mina z lekkim rumieńcem, uśmiechem i serdecznem uściśnieniem ręki. Pierwszy to raz się widzieli po owej scenie upadku w bibliotece. Gdy się jej pytał, czy się na niego czasem nie gniewa, roztworzyła szeroko swe wielkie, czarne oczy i z bezczelnością, właściwą w takich razach kobietom, zapytała:

— Za co? Czyś pan co zawinił względem mnie? Jeśli tak, to chyba myślą, bo uczynkiem nic.

Zamknęła mu tem usta. Stanęła między nimi milcząca umowa, nie wspominać o scenie bibliotecznej.

Grano mistrzowską komedję starego Fredry: „Śluby panieńskie.“ W Millerze obudziły się drzemiące instynkta artystyczne i z zapałem i zajęciem śledził pysznie rozwijającą się akcję na scenie.

Nagle Julek szepnął do Miny:

— Czy pani widzisz tę aktorkę, co gra Klarę? Tę śliczną blondynkę o takich niebieskich oczach, że jak powiada mój brat, okradając zresztą Słowackiego, jaskółki biorą te oczy za niebo i uderzają się o nie.

— Bardzo to poetyczne. Więc cóż ta aktorka? Jak się nazywa?

— Panna Iza. Mój brat kocha się w niej na zabój.

— Kocha się? A żona?

— Żona? — roześmiał się Julek — żona oczywiście nic o tem nie wie, dla tej prostej przyczyny, że połowa Warszawy o tem mówi. Zresztą serce nie sługa......

Z namiętną uwagą poczęła Mina śledzić Izę. Widziała, że jest bardzo ładną. Chodziła ona po scenie w ciężkiej jedwabnej sukni, z nagiemi ramionami, całując co chwila różę, którą trzymała w ręku.

W krzesłach siedział Zygmunt Zaremba z lornetką przy oczach i patrzył w swe kochanie, jak w obraz.

Wszystko to budziło w Minie żywe zajęcie i różne myśli. Mimowoli powstawała w niej serdeczna, szczera chęć dopomożenia kochankom. Przypominały się jej zdania Julka o użyciu życia, o jedynem prawie świata zapewnienia sobie jakimbądź kosztem szczęścia, choćby nawet chwilowego. Dla czegożby zresztą nie miała mu dopomódz, jeżeli ona będzie mogła i jeżeli kochankowie na to się zgodzą.

— Chciałabym poznać tę pannę Izę — rzekła do Julka.

— To będzie trochę trudnem — odpowiedział — gdzieżby ją pani mogła spotkać? Tam gdzie aktorki bywają, pani, ani też nikt ze sfery naszej nie bywa. Panie te w ogóle mają nieszczególną reputację i kobiety nasze niechętnie na nie patrzą. Nie wiem więc jakby to mogło się zrobić, choć chciałbym woli pani zadość uczynić.

— Och, jeżeli tak, to nie mamy o czem mówić.

— Nie, tylko zaraz się to zrobić nie da. Powoli, może się to jakoś ułoży. Ale dlaczego pani chce poznać tę panią?...

Spojrzała mu w oczy i odwracając się do sceny, rzekła:

— Tak sobie... Budzi we mnie ciekawość, nic więcej. Ale zresztą jeżeli to tak trudne i tak niepodobne, to już nie chcę...

Milczenie zapanowało w loży i wszystkich zajęło arcydzieło Fredry rozgrywające się na scenie.

X.

Bal u Millera udał się świetnie. Przez długi czas był on przedmiotem rozmów wszystkich kumoszek na Starem-Mieście. Przed spokojny, cichy dotąd i ponury zawsze dom kupca, okryty poważnym pyłem starości, zajeżdżały karety za karetami, a z nich wysiadały strojne damy i panowie. Gawiedź staromiejska nieprzyzwyczajona do tego widoku, zebrała się tłumnie przed kamienicą Millera i patrzyła w jarząco oświetlone okna, w cienie przesuwające się na zapuszczonych roletach, wsłuchiwała się w odgłosy muzyki, dobiegające aż na ulicę. Dziwiono się zresztą powszechnie, że Miller, ów Miller uchodzący za skąpca, za człowieka oglądającego wprzód dziesięć razy grosz, nim go z rąk wypuści, że ten Miller wydał bal, który pochłonął z pewnością parę tysięcy złotych polskich.

Ale jeżeli bal ten kosztował starego niemca tak dużo pieniędzy, to jednak było to niczem w porównaniu z walką, jaką musiał stoczyć z Joanną, która za nic nie chciała zgodzić się na wydanie balu. Przyszło do tego, że na wyraźne objawienie woli Millera, iż on chce wydać bal i tak być musi, pierwszy raz w życiu może stawiła opór. Ze swym zwykłym zimnym spokojem, zdradzającym jednak przez gorączkowy rumieniec na twarzy, przez błyski ponure w oczach burzę szalejącą w jej wnętrzu, Joanna odrzekła:

— Możesz Fryderyku wyrzucać pieniądze za okno, kiedy ci się tak podoba. Są one twoją własnością, ale nie zmusisz mię do tego, bym ci powiedziała, że dobrze robisz. Nie zgodzę się nigdy na to, byś się rujnował niepotrzebnie i bez celu. Oświadczam ci więc, że do tego balu, do tego zbytku strasznego, który mię przeraża, ja ręki nie przyłożę.

Miller powrócił do siebie silnie wzburzony. Zapalił cygaro, które mu już kilkakrotnie zgasło i począł chodzić wielkiemi krokami po pokoju. Ostatecznie przyszło do tego, że on nie jest panem w swym domu, że nie może rozporządzać majątkiem, który sam zarobił, bez niczyjej pomocy. Widzi, że każde przeprowadzenie swych zamiarów i swej woli, kosztuje go bardzo wiele, że nawet w końcu doprowadziwszy rzecz do skutku, ma w domu niepokój, burzę, cichą ale męczącą walkę. Joanna zgodzi się na bal, bo musi się zgodzić, ale chodzić będzie przez parę tygodni potem milcząca, groźna, nachmurzona, ciskająca od czasu do czasu zjadliwe słówka i błyskawiczne wejrzenia. Nie przyznawał się do tego, ale takie zachowanie się siostry, taki gniew straszniejszy, bo ukryty, taka cisza, nosząca w swem łonie burzę, męczyła go ogromnie. Ale on musi na swojem postawić i bal wydać. Mina jest młodą, piękną i żądną zabaw i rozrywki. Ona się nudzi w tym smutnym domu, urządzonym przez Joannę, jak klasztor jaki, jak siedlisko kwakrów lub purytanów. Ona jest jedyną jego krewną i domniemaną dziedziczką jego majątku, boć przecież w razie gdyby umarł wprzód od Joanny, jej nie zapisze swej fortuny, gdyż z pewnością przeznaczyłaby ją na kościół ewangelicki w Warszawie, co byłoby wierutną niedorzecznością. On zaraz zrobi testament, tylko z tym balem się załatwi, siostrze zapisze dożywotnią rentę, a cały majątek Minie. Majątek to duży, dosięgający paru miljonów i nie łatwo go zrujnować. Wszystko to będzie Miny, dla czegoż więc nie ma pozwolić na to, by to dziecko, to śliczne dziecko się zabawiło, cokolwiek rozerwało.

Przyznawał, że Mina jest prześliczną. Od czasu pobytu w jego domu, w spokoju, dobrobycie, bez troski o jutro, wypiękniała jeszcze więcej. Płeć jej nabyła świeżości, i chorobliwa, smutna bladość znikła z jej twarzyczki. Oczy były teraz ognistsze i figlarniejsze, figura się wypełniła, biust wzrósł. Słowem, była zachwycającą i na Millerze, który nie przyznawał się do tego, robiła silne wrażenie. On mało znał kobiety, życie swoje, młodość, spędził w ciężkiej pracy i o kobietach nie myślał. Krótkie, urywane, pieniędzmi zwykle opłacane stosunki w młodości były raczej zadośćuczynieniem potrzebie fizjologicznej, ale nigdy uczuciu. Ten starzec w stosunku do kobiet był naiwnym jak szesnastoletni chłopiec. Teraz ta dziewczyna z brylantami w oczach, z ciałem nabierającem pełności, z talją syreny a biodrami Junony, olśniewała go, skrzepłą krew w nim burzyła. Myślał ciągle o niej i od czasu do czasu przypominał sobie Julka Zarembę.

Teraz siedząc w kantorze lub sklepie, pilnie co rana patrzył na ulicę, czy Julek nie idzie na górę. I prawie co drugi, trzeci dzień widział, jak ten młody człowiek przychodził, siedział godzinę lub dwie i powracał zawsze głęboko zamyślony.

— Co robić? — pytał sam siebie Miller. — Zostawić rzeczy tak jak są w obecnej chwili, niepodobna. On gotów zbałamucić mi dziewczynę w tych długich sam na sam, których Joanna przerywać nie chce. Oboje są młodzi, a krew nie woda. Ale co zrobić? Wymówić dom Julkowi niepodobna przecież.

I biedził się Miller z myślami i nie wiedział co zrobić. Niekiedy rozmawiał z Miną o tym młodym człowieku i pilnie patrzył w twarz dziewczyny swemi maleńkiemi siwemi oczkami, pragnąc wyczytać z niej jakąś tajemnicę, jakąś iskrę uczucia. Ale Mina choć rumieniła się wtedy zwykle, śmiała się jednak tak szczerze i tak dobrodusznie z Julka, z jego poglądów,

z jego czarnej, jak ją nazywała, melancholji, że Miller uspokojony, mówił do siebie:

— Nie, ona go nie kocha, a w takim razie nie ma niebezpieczeństwa.

Ale z tem wszystkiem nie podobały mu się te częste odwiedziny Zaremby, odwiedziny, które gdy się rozeszła wieść, że Miller wydaje bal, na kilka dni przed tym balem stały się codziennemi, a nawet nieraz młodzieniec i dwa razy dziennie przychodził. To gniewało Millera i znowu stawiał sobie pytanie: co robić?

— Trzeba koniecznie coś zrobić! — mówił do siebie, siedząc w swym ciemnym i brudnym kantorze, zapatrzony w obrazek z podpisem: „Stara miłość nie rdzewieje."

Wówczas niby błyskawica pojawiająca się wśród nieba, pokrytego czarnemi chmurami i oblewająca światłem całą okolicę, pojawiała się w jego głowie dziwna myśl, którą zrazu odrzucał, ale która uparcie powracała. Coś mu szeptało: ożeń się z Miną.

Ożenić się z tą piękną, młodą dziewczyną, ależ to niepodobna! On jest stary, brzydki, wyziębiony, a ona młoda i piękna. Śmiał się z siebie i oburzał na myśli, które przychodziły mu do głowy, Bóg wie zkąd i po co.

Mimo tego, ile razy ujrzał idącego przez ulicę Julka i kierującego się do bramy jego domu, myśl ta powracała uparcie i kazała przypatrywać się sobie ze wszech stron. Wtedy patrząc na obrazek z przysłowiowym podpisem, mówił sobie, jakby to jednak dobrze było, gdyby się on ożenił z tą sierotą, z tą biedną, opuszczoną dziewczyną. Przerwałby Aleksandrowem cięciem zadzierzgający się węzeł stosunku bardzo niebezpiecznego dwojga młodych ludzi, wprowadziłby sobie w dom upragniony spokój, zburzony od czasu przybycia Miny. Joanna musiałaby się pogodzić ze spełnionym faktem, a prawdopodobnie usunęłaby się, na co on chętnieby się zgodził i zobowiązałby się rejentalnie płacić siostrze dostateczną sumę na utrzymanie.

— Tak, byłoby to wszystko bardzo dobrem i bardzo pięknem, gdyby było możliwem — mówił sobie jednak zawsze, kończąc swe rozmyślania. — A potem najważniejszą rzeczą jest to, czyby Mina mnie chciała, mnie starego i brzydkiego. Młode dziewczęta wolą zawsze smyków i paliwodów, niż ludzi dojrzałych i statecznych — dodawał z goryczą, której ukryć nie zdołał. — Co prawda, jest to bardzo naturalnem — uśmiechnął się w końcu.

Ale bądź co bądź myśl ta tkwiła mu gwoździem w mózgu i wyrwać jej nie mógł w żaden sposób.

Nieraz całemi godzinami przesiadywał wpatrzony w obrazek, mówiący o starej miłości. Porównywał siebie do owego chłopa niemieckiego na obrazku, który wypiwszy kilka szklanek gorącego wina reńskiego, smali koperczaki do swej równie starej małżonki.

— *Alte Liebe rostet nicht* — szeptał Miller po niemiecku, zagłębiony w sobie, zadumany głęboko.

Częstokroć wróciwszy do domu na obiad, siedział wpatrzony w dziewczynę, podobnie jak w ów obrazek u siebie w kantorze. Przy obiadach zwykle panowało głębokie milczenie. Wszyscy byli nie swoi, zmrożeni surową, zachmurzoną miną panny Joanny, która nie otwierała ust, chyba po to, żeby wykrzyczeć Katarzynę za źle przyrządzoną jaką potrawę. To milczenie drażniło Millera i w jaśniejszych, słodszych jeszcze barwach przedstawiało mu życie domowe, jakieby pędził z Miną, swobodny, szczęśliwy, odmłodzony. Ona by w tę posępną pustkę, wiecznie brzemienną piorunami, przesiąkniętą niesmakiem i niezadowoleniem, wprowadziła swobodę, wesele, radość. Ona by te milczące ściany, to powietrze ciężkie, duszne, poruszyła swym srebrnym śmiechem, ten wieczny zmrok rozjaśniła błyskami swego wejrzenia. Przypatrywał się jej teraz bardzo pilnie, innym jakimś wzrokiem. Ze spokojem starca badał starannie wszystkie jej ruchy, wszystkie szczegóły jej figury, całe jej rozkoszne, sprężyste i jak marmur twarde ciało. Przyznawał, że jest cudowną z tym wspaniałym rozwojem swej budowy. Niekiedy ni ztąd, ni zowąd, przychodziły mu na myśl dzieci..... Mógłby mieć syna i jemu zapisałby cały majątek, miałby cel w życiu....

— To wszystko nie ma za grosz sensu — myślał potem, oblewając się zimną wodą rozsądku.

Zajął się gorączkowo przygotowaniami do balu, zwłaszcza, że Joanna nawet ręki do niego przyłożyć nie chciała. Sam schodził do piwnic i wydobywał stare, kosztowne wina, których buteleczki pękate, o długich, cienkich szyjkach, bociankami zwane, sprzedawał po trzy dukaty. Patrząc na te kosztowne specjały, na złotawy płyn, błyszczący przez szkło i mech kilkudziesięcioletni, myślał sobie, jakby to dobrze było wypić wszystko to wino na swojem własnem weselu...

Przed samym balem, wieczorem, na godzinę może przed przybyciem zaproszonych gości, Miller ze swobodą starego opiekuna młodej dziewczyny wszedł do jej pokoju. Panował tam pewien rozkoszny nieład, który dziwnie usposobił Millera. Na krześle leżała rozłożona suknia jasno-różowa, ubrana kwiatami i koronkami, łamiąc połyskliwie w swych zgięciach światło trzech lamp, rozstawionych w różnych kątach. Na toalecie, starym sprzęcie z czasów dyrektorjatu, zwleczonym ze strychu, gdzie spoczywał od lat może pięćdziesięciu, ciężkim, poważnym i pełnym bronzów, leżały pudełka i pudełeczka z kosmetykami, perfumami i stroikami. Wśród tego wszystkiego, na środku pokoju stała Mina w białej spódnicy, z długim ogonem, z gołemi ramionami, a szwaczka sznurowała jej gorset. Nagie jej ręce przy sztucznem świetle wyglądały jak z marmuru wykute, białe i różowe, pełne

tą pełnością młodości i dobrego odżywiania. Gdy wszedł Miller, zarumieniła się trochę i patrząc na niego swemi śmiejącemi oczyma, rzekła:

— Ach, wuju, ja się ubieram...

— Właśnie przyszedłem zobaczyć, kiedy się nareszcie ubierzesz.

Mówił to, nie spuszczając wzroku z tych ramion cudownych, tych piersi białych i pragnąc, by się nigdy nie ubrała. Potem mimo swej woli, zbliżył się do niej, pocałował ją w czoło i w to ramię, którego dotknięcie oblało go krwią całego. Mina spojrzała na niego nieco zdziwiona i śmiejąc się głośno, chwyciła jakiś szal i zarzuciła na siebie.

Wyszedł, a idąc przez pustą jeszcze w tej chwili salę, oświetloną wspaniale, szeptał:

— Nie, to inaczej już być nie może, ja się z nią ożenię! (C. d. n.)

SERCE.

Z twarzy dziś mojej nikt nie wyczyta,
Co w głębi duszy się mieści...
Twarz ma — uśmiechem zawsze spowita —
Język szaleje i żartem zgrzyta,
Choć w sercu pełno boleści!

Bo pośród ludzi kto sercem żyje —
Temu już dola — niedolą!
Łza mu goryczy lica obmyje —
Wąż mu zawodów duszę obwije,
I skroń mu ciernie pokolą.

Dziewczynie serce dajesz z ochotą
A dziewczę sercem się bawi,
Bo lekceważy. Bo mniejsza o to
Że gdy zabawkę upuści złotą,
To ją pokruszy, zakrwawi.

Nieraz przyjaciel zda ci się prawy,
Sercem oddany i stały,
Bo jednomyślny pośród zabawy,
I pośród gwaru, uczty i wrzawy
Młodzieńcze dzieli zapały.

Lecz kiedy uczta i gwar przeminie,
I kiedy troska na dobie —
Wtedy przyjaciel dom twój ominie...
Bo przyjaźń swoją kąpiąc w twem winie,
Myślał, lecz tylko — o sobie!

A więc szyderczo życie dziś biorę,
Choć głód do życia mam wilczy!
I choć me serce — marzeniem chore,
Do ukochania jak dawniej skore,
— Każę mu milczeć i milczy!

Karol Świdziński.

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

Wyjazd pana radcy Kroneg z synem był postanowiony na następny tydzień, nie wypadało zatem i Hellmarowi nadużywać gościnności pani Rehfeld i należało opuścić jej dom razem z innymi; zabierał się więc do odjazdu pomimo gorącej chęci pozostania.

Było to przed południem w przeddzień wyjazdu.

W salonie zasłoniętym firankami panował półcień, a światło dostawało się tylko przez otwarte drzwi balkonu. Pani Rehfeld czuła się słabszą po przechadzce odbytej w ostatnich dniach i od dwóch dni była niewidzialną dla otoczenia, przepędziwszy ten czas w łóżku. Dziś wyszła do gości i zastajemy ją w salonie, rzuconą niedbale w fotelu z wyrazem zmęczenia na bladej twarzy; przy niej zajął miejsce nieodstępny Gwido Hellmar, podczas gdy inni udali się na śniadanie.

Melodyjnym głosem, sentymentalnie nastrojonym, wynurzał swoje współczucie z powodu cierpień jakim ulegała, wypowiadał obawy o jej zdrowie i radość ze szczęścia oglądania jej po dwóch, samotnie i w w tęsknocie przepędzonych długich dniach, na końcu przeszedł na temat jutrzejszego odjazdu i nie mógł się oprzeć nadmiarowi wzruszenia.

Pani Ewelina słuchała wprawdzie krasomówczych wywodów Gwidona, ale ten zauważał że duchem była gdzie indziej i błądziła oczyma po rozległych alejach ogrodu, rozpościerających się przed willą, skąd dolatywał wesoły śmiech i głośna rozmowa grających w krokieta Andzi i Henryka. Próbował nasz poeta zwrócić na siebie uwagę pani Rehfeld, a gdy mu się to nie udawało, wstał z krzesła i zamykając drzwi balkonu wyrzekł z oburzeniem:

— Nagany godna nieuwaga ze strony Henryka. Wie jak pani cierpi, a mimo to hałasuje tuż pod balkonem.

Wprawdzie głosy nie pochodziły z tak bezpośredniej bliskości jak mówił Hellmar i tylko od czasu do czasu dolatywał głośniejszy śmiech, który tracił na sile w skutek oddalenia, widać jednak było na twarzy pani Eweliny, że wesołość dwojga młodych sprawiała jej przykrość; to też nie bez goryczy wyrzekła:

— Henryka wyjazd jutrzejszy nie smuci tak mocno jak pana, a zostawia tu przecież drogą osobę... Andzię.

— Od lekkiego motyla, jakim jest mój przyjaciel, trudno wymagać więcej nad swobodne bujanie z kwiatka na kwiatek. Kocham go jak brata i tłómaczę jego błędy, ale to nie błąd już lecz brak charakteru. Niezdolny on do wzniosłych myśli lub głębszych uczuć — odpowiedział Gwido z znaczącym uśmiechem.

— Ja go osądzam inaczej i jestem przekonaną, że prawdziwe uczucie ukrywa pod osłoną szyderstwa. Dlaczego? nie umiem powiedzieć.

Pierwszy raz stanęła pani Ewelina w obronie Henryka od czasu jak bawił w jej domu, a zwrot ten zdziwił niezmiernie Gwidona, nie dał jednak tego poznać po sobie i z wyszukaną uprzejmością odpowiedział:

— Być może że się mylę, ale znam Henryka od dawna i nie dostrzegłem w nim tego co pani nazywa prawdziwem uczuciem.. ha! kobiety bystrzej od nas odgadują ukryte zalety. Cieszyłbym się więcej jak ktokolwiek gdyby się przypuszczenia pani sprawdziły. Nie uwierzy pani jakiego przykrego uczucia doznaję, że właśnie ja sam udzieliłem niektórych szczegółów o moim przyjacielu, które powinienbym był pokryć wiecznem milczeniem, ale uczyniłem to na wyraźne pani życzenie. Żądałaś pani prawdy, nie mogłem więc kłamać, a jednak dręczy mnie ta myśl, że rzuciłem cień na towarzysza młodości...

— Starałeś się pan usprawiedliwić go wszelkimi możliwymi sposobami — odrzekła Ewelina.

W tej chwili doleciał głośny śmiech Henryka z ogrodu, który niemile dotknął chorą; zwróciła się do Gwidona i dodała:

— Może pan masz słuszność! Zdawało mi się, że... ale od rozmowy...— pani Rehfeld urwała nagle i podniosła batystową chustkę do ócz. Miała na ustach wzmiankę o spotkaniu się z Henrykiem w parku, przebiegu ich rozmów, ale wspomnienie tego wieczora, który się młodej kobiecie zdawał sennem marzeniem, urosło w jej wyobraźni do jakiegoś niedoścignionego ideału, pieszczonego w najskrytszej tajni jej duszy, i uważała za świętokradztwo dotknąć go chociażby jednem słówkiem.

Gwido nie uważał na to milczenie, bo powziął zamiar, który za jaką bądź cenę dzisiaj musiał doprowadzić do skutku. Przekonawszy się jednym rzutem oka, że Henryk z Andzią zajęli się krokietem, pewny że papa Kroneg zajęty u siebie pisaniem listów nie prędko nadejdzie, przystąpił do wykonania swego zamiaru. Wyjął z kieszeni rękopis i prosił panią Rehfeld o pozwolenie przeczytania jej najnowszego utworu.

Martwa twarz Eweliny ożywiła się, poczem łaskawie zezwoliła na odczyt wsłuchując się z natężoną uwagą w gładki wiersz, w którym co prawda więcej było gry wyrazów jak treści, ale Gwido miał dar przenikania swym dźwięcznym i miękkim głosem do głębi duszy, a poezje jego znachodziły zawsze oddźwięk w sercu wyegzaltowanej wdówki. Ze łzą w oku i falującą piersią słuchała tej muzyki głosu patrząc bezwiednie w wazę stojącą obok na kominku.

Tylko jeden kwiat wychylał z niej swą pełną i barwną koronę, a chociaż przedwczoraj jeszcze zerwany, zachował całą świeżość. Niebieskie kwiecie otaczające purpurowy kielich z złotawą koroną rozwinęło się prześlicznie, roztaczając tęczowe barwy przed błądzącem spojrzeniem i zdawało się kłonić przed bladem obliczem ku sobie zwróconem.

Gwido czytał z wzrastającym zapałem swoją poezję, do której wziął za temat przenośnię o uroczym kwiatku grobowym, spoglądającym tęsknie po raz ostatni w promienną tarczę słońca. Rolę słońca przydzielił sobie, a kwiatkiem miała być pani Rehfeld. Skończył! Po krótkiej pauzie wręczył skrypt pani Ewelinie, która ten hołd przyjęła w ekstazie.

— Zrozumiałam pana... — wyszeptała — równie jak pan mnie umiałeś zrozumieć. Z całego otoczenia tylko ty jeden panie Gwidonie odczułeś co się dzieje w zbolałem sercu, ale słowa pociechy i nadziei, któremi tchnie ostatni twój utwór, nie licują z smutną rzeczywistością. Nie ma dla mnie nadziei. — Z temi słowy podała drobną rączkę poecie, którą ten namiętnie przycisnął do ust.

— Tylko bez zwątpienia, łaskawa pani! O gdybyś mogła odgadnąć czem twój widok był dla nas, a dla mnie w szczególności, wtenczas nie byłoby pani tajnem, że ja tylko mam składać dzięki i uderzyć czołem przed twym majestatem.

Ewelina zostawiła rękę w uścisku Gwidona. Hołdy trubadura, jak Henryk nazywał swego przyjaciela, pochlebiały rozmarzonej kobiecie i przyjmowała je bez silniejszego wzruszenia, jako rzecz zwykłą.

Hellmar był przekonany, że dnie pani Rehfeld są policzone i że hołdy swe składa tej, którą nie długo już do żywych będą zaliczac. Teraz zsunął się na kolana przed panią Eweliną i nie wypuszczając jej rączki wygłosił w stylu wysoce romantycznym oświadczenie, ale z takim zapałem i pewnością zwycięztwa, że pani Rehfeld spostrzegłszy się do czego zdąża, gwałtownie wyrwała rękę i zapłoniona wyrzekła:

— Na Boga! co to jest? Mówisz pan o miłości, o uczuciach, o szczęściu i nadziejach, jak gdybyś nie wiedział, że ze mną wszystko skończone... może zaledwie kilka miesięcy pozostaje mi jeszcze do życia.

— Miłość prawdziwa nie liczy i nie ogląda się po za siebie. Dla niej chwila szczęścia starczy za wieki. Nie wiem o niczem i nie chcę wiedzieć — jedno mam tylko pragnienie, jedno życzenie wypływające z głębi przepełnionego serca: nazwać cię moją. Wiotki mój kwiat otoczę staranną opieką, osłonię przed zimnym powiewem mrożącego wiatru i na rękach poniosę w krainę wiecznego szczęścia. Powiedz jedno słowo, słowo, które mi ziemię zmieni w raj i podniesie do szczytu szczęścia! — naglił Gwido namiętnie z pewną natarczywością.

Ewelina słuchała prawie nieprzytomna. Nigdy nie myślała nad tem, żeby przyjaźń, jaką jej okazywał Gwido, pochodziła z głębszych pobudek, a wierząc w nieubłagane przeznaczenie, które zawisło nad nią w postaci przedwczesnej śmierci, brała tę miłość

za szaleństwo, za wyzwanie Opatrzności. Jednak gorące wyznanie poety, wypowiedziane z takim zapałem i uczuciem, owiało ją dziwnym czarem. Nie kochała nigdy i nie zaznała prawdziwej miłości, marzyła o niej tylko w bezsennych nocach, a tu nagle sny rozkoszne, najtajniejsze marzenia stały się czemś rzeczywistem. Nie wiele życia jej zostawało — czyż miała odepchnąć od siebie to szczęście, które pod koniec dni opromieniało smutną i bezbarwną przeszłość?

Opierała się jeszcze rozkosznej pokusie, tłómaczyła Gwidonowi, ale słowa tonęły we łzach szczęścia, spływających po bladej twarzy, a z po za łez patrzyły na nią smętne oczy poety, takie rzewne, tak błagające... ucho pieściły gorące prośby i zaklęcia... zwolna nachyliła się do klęczącego w malowniczej pozie Gwidona a na ustach już zawisł jeden wyraz, krótki ale pełen znaczenia, wyraz, który zrywał wszystkie mosty i zamykał drogę do odwrotu. W tem uczuła zimne dotknięcie, lekkie jak gdyby ręki czarodziejskiej i kwiat alpejski stoczył się do jej stóp, dotknąwszy rozgorączkowanego czoła. Kwiatek wypadł z wazy przypadkiem, ale Ewelina, skłonna do mistycyzmu, wzięła ten wypadek za wyższą wskazówkę, za przestrogę lub wyrzut.

Gwido sięgnął ręką po kwiatek, ażeby skorzystać z nadarzającej się sposobności i nawiązać jaką sentencję okolicznościową, ale młoda kobieta pochwyciła gorączkowo gałązkę i jak gdyby skarbu broniąc, osłoniła go drobnemi rączętami. Drobna na pozór okoliczność dziwną sprowadziła zmianę w tej wątłej i na pozór bezsamowolnej istocie.

— Nie, panie Hellmar! Znaczyłoby to wyzywać do walki życie i śmierć. Jeżeli pan straciłeś zimną krew i rozwagę, na mnie kolej mieć ją za nas oboje.

— Nie bądź okrutną Ewelino! — błagał Gwido jeszcze na kolanach. — Spojrzyj pani! los łaskawszy od ciebie, znak ten przemówił za mną. Oddaj mi ten kwiat w zakład mego szczęścia.

Chciał pochwycić kwiatek z ręki Eweliny, ale ta cofnęła ją szybko z odmownym gestem. Cały sentymentalizm i wygórowana wrażliwość pod których osłoną zręczny poeta spowijał jej uczucia, uleciała nagle w obec dziwnych oświadczyn, do których go nic nieuprawniało. Głos pani Rehfeld brzmiał wprawdzie spokojnie, ale pewnie i chłodno.

— Inaczej zrozumiałam ten wypadek. Związek o którym mówiłeś pan przed chwilą, zawiera się na całe życie, a tego właśnie nie mam do ofiarowania. Później kiedyś będziesz mi pan wdzięczny za dzisiejsze słowa rozwagi.

Na twarzy Gwidona odbiło się gorżkie rozczarowanie, a powstając wyrecytował tragicznie:

— Wypowiedziałaś pani wyrok mej śmierci!

Ale i ten arcymisterny zwrot przeszedł bez wrażenia. Ewelina stała się niedostępną wszelkim frazesom.

— Przezwyciężysz pan niebawem tę boleść — wyrzekła uprzejmie lecz stanowczo. — Człowiek, któremu cały świat otwiera podwoje, poeta do którego świetna przyszłość uśmiecha się zalotnie, nie powinien dni swoich przykuwać do łoża gasnącej żony. Zostańmy przyjaciółmi nadal, jedyny to możliwy węzeł pomiędzy nami.

Gwido milczał. — Niespodziewany obrót sprawy, którą uważał za wygraną, pomięszał mu szyki. To zrozumiał tylko doskonale, że na razie wszelkie nalegania mogły mu więcej zaszkodzić niż przynieść korzyści.

Jeszcze nie ochłonął z wrażenia, gdy wszedł papa Kroneg i od drzwi zawołał:

— Ten Henryk istny czarodziej! Widziałem z okna zajeżdżającego doktora Eberhardta.

Ewelina poruszyła się z niedowierzaniem, bo chociaż jej Henryk zapowiedział wizytę Eberhardta, wątpiła czy przyjedzie; ale słowa radcy potwierdziła Andzia wpadając do salonu.

— Mameczko! Doktor Eberhardt przyjechał z swoim asystentem. Przygotuj się na niesłyszane grubiaństwa! Powinien się wprawdzie zachować przyzwoicie ze względu na nerwy mameczki, ale wątpię czy przezwycięży w sobie dzikiego człowieka.

Henryk przyjął tymczasem doktora w ogrodzie i poprowadził go na górę.

Eberhardt pierwszem zjawieniem się usprawiedliwił zupełnie opinję jakiej zażywał. Wszedłszy do salonu nie spojrzał nawet na żadnego z obecnych lecz wprost postąpił do pani Rehfeld, której lekkiem skinieniem głowy odpowiedział na przywitanie i nie wdając się w żadne ceremonje przedwstępne ujął wystraszoną kobietę za rękę, a zwróciwszy się do otoczenia wyrzekł szorstko rozkazującym głosem:

— Panowie wyjdą! Gilbert! pan zostaniesz przy mnie. No, i ta mała może pozostać — dodał spojrzawszy na Andzię.

Andzia pokraśniała z oburzenia i posłała doktorowi piorunujące spojrzenie za lekceważące wyrazy, jednak ze względu na panią Ewelinę pozostała, nie chcąc jej pozostawić samej z nieokrzesanym eskulapem.

Z wyrazem głębokiej pogardy stanęła w milczeniu obok matki.

Panowie opuścili salon i udali się do przyległego pokoju.

Radca przechadzał się z Hellmarem rozprawiając o rzeczach potocznych, Henryk tymczasem stojąc przy oknie wydobył z kieszeni jakiś skrypt znaleziony w salonie i czytał go z zajęciem, uśmiechając się szyderczo, przyczem mówił półgłosem:

— Jeszcze ta więdnąca róża! a jak natarczywie każą się jej zwracać ku słońcu, którem nikt inny tylko sam autor: pan Gwido Hellmar w własnej osobie. Zakończenie tonie we łzach... niezmiernie czułe. Gdyby nie była chorą i wskutek tego zbytecznie roz-

strojoną, nie pojąłbym jak można słuchać podobnego kwilenia.

— Cóż tam masz nowego? — zapytał Gwido i zbliżył się do okna, nieprzeczuwając, że to jeden z jego wzniosłych utworów osądzono tak niefortunnie.

— Najnowszy twój wiersz poświęcony pani Rehfeld — odpowiedział Henryk, wręczając skrypt zdumionemu poecie.

— Ale tylko jej samej i nikomu więcej — odpowiedział podrażniony Gwido.

— Podniosłem go z ziemi i uchroniłem przed zdeptaniem przez doktora Eberhardta — odrzekł spokojnie Henryk.

Gwido przygryzł wargi chowając rękopis, gdy do pokoju wbiegła zapłakana Andzia, wołając od drzwi:

— Bój się Boga Henryku, coś ty narobił, sprowadzając tego Eberhardta! Mama rozpłakana i przestraszona a ten potwór stoi nad nią i naśmiewa się jeszcze.

— Dlaczego? — zapytali razem Hellmar i radca.

— Zachował się jak szaleniec, pozrywał firanki u okien, okna pootwierał na oścież — pomimo, że mama błagała i prosiła, żeby tego zaniechał, ponieważ zbyteczne światło ją razi i nie może znieść ostrego powietrza. Zaczęłyśmy obydwie płakać, a ten straszny człowiek tupał nogami i krzyczał na nas, że nie przyszedł słuchać szlochów i patrzeć na udane spazmy, potem wypędził mnie prawie z salonu i biedna mama jest teraz samą w ręku tej poczwary. Gdyby jeszcze nie obecność doktora Gilberta, do którego mam zaufanie, obawiałabym się najgorszych rzeczy — wypowiedziało zapłakane dziewczę jednym tchem prawie.

— Można się było spodziewać czegoś podobnego — wycedził Gwido z nietajonem zadowoleniem. — Byłem zaraz przeciwny pomysłowi Henryka... sprowadzać do osoby tkliwej i wrażliwej człowieka tak bezwzględnego... ale Henryk nie chciał usłuchać mojej rady i poszedł za swoim rozumem.

— I ja byłem temu przeciwny. Doświadczyłem manier tego pana na własnej osobie... — zawtórował papa Kroneg, który nie mógł wybaczyć Eberhardtowi przyjęcia jakiego doznał w jego domu.

Henryk wysłuchał obojętnie przymówki poety i najspokojniej odpowiedział:

— Byliśmy przygotowani na jego dziwactwa. Widocznie chce swych pacjentów gwałtem przywracać do zdrowia i ciągnie ich z wody za włosy. Poczekajmy na rezultat.

— Wyciągać z wody za włosy? Porównanie godne szkoły pana Eberhardta — bąknął poeta.

Andzia wyszła do ogrodu, być może iż w nadziei spotkania Gilberta, ale tym razem manewr się nie powiódł. Zamiast młodego doktora przyłączył się do niej Henryk i szedł obok, ale roztargniony i niespokojny.

Po dłuższej konferencji wyszedł doktor Eberhardt z salonu i spotkał oczekujących go w przedpokoju Hellmara z papą Koneg. Radca postąpił do doktora w poczuciu własnej godności, a będąc mu znanym, nie uważał za potrzebne przedstawiać się — z tej samej zasady wychodził i Hellmar, który nie przypuszczał, żeby poeta tego znaczenia mógł być komukolwiek obcym i bez jakiegokolwiek wstępu zapytał dość protekcjonalnie:

— Wystawiłeś nas na ciężką próbę kochany doktorze! Czegoż się mamy spodziewać?

Eberhardt zmierzył pytającego od stóp do głowy; nie imponowała mu ani wspaniała grzywa, ani miękki, dźwięczny głos rymotwora, natomiast drażniło go wyzywające zapytanie i ta familiarność, której nie znosił nawet od dobrze znajomych, to też nie dobierając wyrazów huknął mu w nos:

— A panu co do tego? to moja rzecz! czy sądzisz, że wynik mej konsultacji zaraz tak od śliny pierwszemu lepszemu będę powierzał? Wasza chora jest nerwową jejmością z wygórowaną egzaltacją, której potrzeba przedewszystkiem naprawić w głowie. Dałem jej pierwszą lekcję zdrowego rozsądku, a reszta nie długo da czekać na siebie.

Po tych słowach odwrócił się doktor od Gwidona, który z strasznie głupią miną wysłuchał treściwej relacji i tylko z nogi na nogę przestępywał, a skłoniwszy głową zastraszonemu radcy wyszedł nie oglądnąwszy się.

W ogrodzie zastąpił mu drogę Henryk i zaczem zdołał zapytać już go doktor przywitał szyderczym uśmiechem i z złośliwem zadowoleniem spoglądał na młodzieńca w przekonaniu, że grubo zawiedzie jego nadzieje, które objawił onegdaj.

— Jesteś pan ciekawy usłyszeć o rezultacie badania? — zapytał mierząc Henryka oczyma.

— Tak i nie — odrzekł Henryk idąc z nim razem. — W zasadzie będziesz się pan zgadzał z kolegami, którzy wcale niedwuznacznie objawili już swoje zdanie, zwłaszcza doktor Mertens.

— Doprawdy? — wycedził Eberhardt mierząc pogardliwie towarzysza. — Nie wypowiadam od razu mojego zdania tak apodyktycznie jak szanowny kolega Mertens — ta olbrzymia powaga, ale zajmę się pańską teściową... Ciekawy to okaz.

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Maksowi krew falą płomienistą uderzyła do skroni. Czuł się dotkniętym do żywego wespół z matką i siostrą odmową barona. Wstyd mu było, iż postępowaniem bez taktu, łapaniem i narzucaniem się zasłużyły na tak dotkliwą nauczkę. Ogarnęła go również

trwoga, gdy sobie wyobraził sceny, jakie mu wyprawią matka i siostra, gdy przyjdzie z tą wieścią hiobową.

Pogrążony w boleśnej zadumie, nie zauważył swojego kapitana, wychodzącego z ogródka przedmiejskiego z całą rodziną. A był to widok nie lada imponujący tej karawany, złożonej z kilkunastu członków, zacząwszy od synów, niemal pod wąsem, a skończywszy na niemowlęciu, przez mamkę w wózku wiezionem. Karawanę niby para słoni, zamykali kapitan z żoną, oboje czerwoni, otyli, spoceni i sapiący jak miech kowalski. Straconym był również rzut oka piorunujący, którym go zmierzył przełożony od stóp do głowy.

Maks skręcił na ścieżkę wąską i mało uczęszczaną, która prowadziła przez gęste zarośla, na łączkę nad ruczajem, gdzie rósł gaik olchowy.

Odetchnął całą piersią, wodząc wzrokiem, po tym prawdziwie wiejskim krajobrazie.

Wszystko już zapowiadało głuchą jesień. Drzewa świeciły barwami niepewnemi i roniły liść za liściem niby łzy żalu po majowej zieloności. Na wysokich ostach z kwiatem czerwonym unosiły się nitki pajęcze, owa tak przez lud poetycznie nazwana: „Przędza Matki Bożej“ — ni to leciuchna siatka srebrzysta. Chmurki szare pędziły szybko, gnane ostrym wiatrem, to odsłaniając, to przysłaniając sierp bladego księżyca. Wyglądał on na statek, który to się zanurza i niknie w burzliwych falach morskich, to znowu na wierzch wypływa. Wszystko gdzieś dążyło. Dokąd? Tam, gdzie mu bieg przeznaczyło odwieczne prawo matki przyrody. Nikt i nic z pod niego wyłamać się nie zdoła, po cóż więc walczyć z losem nadaremnie? — pytał duch Maksa słaby i zwątpiały.

Nagle wśród konarów olchy błysnęła mu wstążka. Po chwili stała przed nim urocza postać i twarzyczka Marty, wdzięcznie uśmiechnięta. Zdawało mu się, że na jej widok zesuwa się kamień z serca, pierzchają wszelkie dręczące go wątpliwości i ciężkie utrapienia.

— Marto najukochańsza! — wykrzyknął radośnie. — Jakże do ciebie tęskniłem!

— Mam bo też dla ciebie dobrą wiadomość. — Marta wsunęła rękę pod jego ramię, na którem główkę oparła pieszczotliwie. Głos jej drżał od szybkiego biegu i wzruszenia.

Spojrzał na nią zdziwiony:

— Czyś los wielki wygrała na loterji? — spytał żartobliwie.

Potrząsła głową energicznie:

— Nie wdaję się w żadną loterję. Ludzie mojego stanu, nie mają do gry szczęścia, tylko...

— Do miłości — dokończył za nią Maks, obejmując w pół czule.

— Do pracy — rzekła z naciskiem.

Westchnął ciężko.

— Moja praca jest i pozostanie bezowocną. Zmuszono mnie do obrania zawodu, który wcale nie licuje z mojem wewnętrznem usposobieniem. Nikt i nic nie może rozwinąć się w całej pełni, w sferze lub strefie niestosownej. Czem są naprzykład: palmy i wszelkie rośliny podzwrotnikowe, któremi matka moja na bal jutrzejszy apartament ozdobiła? Karłami! Któżby się domyślił nawet, jak dumnie strzelają w niebo we właściwej im ziemi, jaką woń rozlewają upajającą, jakiemi lśnią barwami cudownemi! A natomiast, ot, ta nasza olcha i wierzba domorodna, z jaką siłą żywotną korzenie głęboko w grunt wpuszcza, nie troszcząc się o wodę zewsząd podpływającą, stawiając mężnie czoło wichrom północnym i mrozom najcięższym. Nie zawsze jednak tak drzewo jak i człowiek może sobie wybrać grunt stosowny — uśmiechnął się boleśnie. — Ileż razy musi tam rosnąć i w tej sferze się obracać, gdzie go los ślepy rzuci. Mało komu wolno wybrać sobie zawód, do którego czułby właśnie ochotę i powołanie.

Szli krokiem wolnym, chcąc usiąść na kamieniu omszałym pod olchą. Zerwały się z niego czyżyki, jakby chciały ustąpić miejsca drugiej parze czułej i rozkochanej.

Marta słodko się uśmiechnęła.

— Los może ci właśnie podaje w tej chwili deskę ratunku, abyś mógł na niej z toni wypłynąć. Twój rysunek ostatni posłałam na wystawę rękodzielniczą i przyznano mu pierwszą nagrodę. Skoro się tak próba udała, możesz śmiało liczyć, że w tym kierunku pracując wytrwale, zyskasz uznanie, stosowne zajęcie i sposób do życia. Porzuć służbę wojskową, w której tak się czujesz nieszczęśliwym. Jako rysownik utalentowany możesz stanąć świetnie. Będą się o ciebie dobijać najgłośniejsze firmy.

Twarz mu się przelotnie rozpromieniła, jak więźniowi, gdy słońce nagle ozłoci jego izdebkę ciemną i jak grób ponurą.

— Chcą, żebym nazwała anonima — kończyła żywo sprawozdanie. — Dziś jeszcze im odpiszę.

Drgnął nerwowo.

— Na miły Bóg! nie wspominaj mojego nazwiska! A matka? Nie powinna nigdy dowiedzieć się, że posyłałem wzory na jakąkolwiek wystawę. W czem ty widzisz szczęście i powodzenie, jej wydałoby się to hańbą dla nas wszystkich i ubliżeniem naszej godności.

Patrzyła na niego chwilę w niemem osłupieniu. Nareszcie powstała.

— Gniewasz się? — zawołał przerażony.

— Nie myślałam — odrzuciła szorstko — żeby praca uczciwa kalała stan choćby najwyższy.

— I ja w zupełności zdanie twoje podzielam — odezwał się przymilająco, chcąc jej rozdrażnienie ułagodzić. — Mama jednak sądzi inaczej.

— Jesteś przecież od dawna mężczyzną — zaprotestowała — od trzech lat nawet pełnoletnim. Możesz zatem, nie pytając o zdanie czyjeś, sam losem swoim kierować i rozporządzać.

Spłonął rumieńcem wstydu.

— Słusznie mówisz... najsłuszniej! — starał się słabość swoją uniewinnić — zapatrując się z twojego stanowiska. Nie sztuka robić co się komu podoba, mając taką jak ty mateczkę, najlepszą, najwzględniejszą. Ona nigdy w niczem ci się nie sprzeciwi. Ja na odwrót, nigdy nie mogłem tak żyć i to czynić, cobym był pragnął, tylko to, co mi matka rozkazała. Godziż się wymagać od człowieka wiecznie dzwoniącego łańcuchami, aby jednym zamachem zerwał pęta, nigdy w tym kierunku sił nie próbując? Zostaw mi trochę czasu. Znajdę może chwilę sposobną, żeby z ojcem o tem w cztery oczy pomówić.

— Wiecznie ta sama obietnica od lat kilku! — zawołała z gorzkim wyrzutem — a nigdy na krok i słowo stanowcze zdobyć się nie mogłeś. Teraz chwila po temu, która może się więcej nie znaleźć, jeżeli z niej korzystać nie potrafisz.

Nie patrząc na niego, zwróciła się ku domowi.

Zaniepokojony szukał jej wzroku. Szła jednak szybko wprost przed siebie, utkwiwszy oczy w jeden punkt.

— Marto! — szepnął głosem błagalnym — bądź dla mnie cierpliwą, wyrozumiałą! Prawda, jestem tchórzem nędznym, nikczemnym, gram latami rolę dłużnika niewypłacalnego, podczas gdy ty pozostajesz wierną misji anioła opiekuńczego, jesteś wiecznie najwspaniałomyślniejszą wierzycielką. Wobec matki nie śmiem ust otworzyć, a przed tobą nie przestaję skarżyć się i losowi nieszczęsnemu złorzeczyć. Jeżelibyś ty mię jednak opuściła, jestem zgubiony!

Nie mogła przenieść na sobie i spojrzała nań wzrokiem od łez zamglonym. Szedł obok niej ten, przez nią jedynie duszą całą ukochany, w mundurze, niby w szarem ubraniu galernika, tak smętnie zwiesił głowę na piersi, tak wyglądał zwątpiały i zrozpaczony. Narzucono mu bowiem skorupę, wprawdzie od złota kapiącą, która jednak gniotła go ciężarem nie do zniesienia, nie licując z jego rysami delikatnemi, niemal kobiecemi i z całym cichym, marzycielskim ducha nastrojem, z temi pięknemi, szafirowemi oczami, które patrzyły na nią tak czule, tak łagodnie z pod daszka czapeczki wojskowej. Gniew nikł, a serce jej czuło jedynie miłość i litość bezgraniczną dla biedaka bezsilnego.

— Nie opuszczę, nie wyprę się ciebie, Maksymiljanie — przemówiła po chwili. — Jeszcze raz ci jednak powtarzam, na przypadek, traf szczęśliwy spuszczać się nam nie wolno. Nie jesteś drzewem niemem, które bezkarnie można z miejsca na miejsce przesadzić. Jesteś człowiekiem z duchem nieśmiertelnym, z wolną wolą, która powinna ci w życiu za ster służyć. Na nic liczyć nie możesz, niczego się spodziewać, jeśli nie znajdziesz w sobie samym dość odwagi do zrzucenia raz więzów krępujących, do wejścia na tory wskazane ci przez matkę przyrodę, właściwe twoim talentom i usposobieniu.

Wyszli z gęstwiny, ale i na łące ściemniło się bardzo. Od zachodu kłębiły się czarne chmury, chłonąc ostatnie słońca odblaski. Tylko na pobliskim cmentarzu świeciły wśród pomroku białe, gładkie pnie brzóz płaczących i gęsto rozsiane pomniki bądź z marmuru, bądź z jasnego piaskowca. Stanęli w miejscu, gdzie się drogi krzyżowały. Szeroka alea kasztanowa prowadziła do eleganckiego śródmieścia, uliczka zaś wąska i wielce zaniedbana, do ubogiego domku przedmiejskiego, gdzie mieszkała Marta.

— Żegnaj! — szepnęła.

Cisnął ją kurczowo za rękę, jakby się lękał wypuścić z dłoni ostatni promyk nadziei i otuchy. Zarzuciła mu żywym ruchem ramiona na szyję, a całując namiętnie usta blade i bolem drgające, powtórzyła jeszcze raz tonem silnym, z energją jej właściwą:

— Żegnaj mi... biedaku kochany!

Patrzył długo, długo w uliczkę, w której cieniu przesuwała się krokiem elastycznym i śmiałym postać wyniosła pomiędzy tłumem dzieciaków zamurdzanych i robotników zapylonych, powracających do domu na wieczerzę, póki mu z oczu nie znikła po za furtką domku przedostatniego, świecącego farbą jaskrawożółtą.

Jeszcze z progu furtki skinęła mu Marta ręką i główką na pożegnanie. A że nieraz widzimy coś w świetle prawdziwszem z daleka niż z bliska, Maksowi zdawało się, że mimo uśmiechu łagodnego w jej rysach i wzroku łzawym przebijała się trwoga śmiertelna i brak wszelkiej nadziei.

I jemu serce ścisnęło się bolem niewypowiedzianym. Wyrzucał sobie gorzko słabość nie do przebaczenia, która tak zasępiła twarzyczkę ukochanej. Zwykle patrzyła w przyszłość tak swobodnie i wesoło. Oczy go piekły, jakby miały niebawem we łzach się rozpłynąć. Płacz dziecinny niemożebny przecież u mężczyzny, a w dodatku u oficera! Na tyle umiał jeszcze panować nad słabością wrodzoną. Gdy przetarł oczy mgłą zaszłe, Marty już nie było na progu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Plotki lwowskie.

— I cóż, bardzo pani płacze za utraconym rajem?

— Myślisz pan zapewne o skończonym karnawale? Nie panie. Nie płaczę nigdy za tem co minęło, gdyż wierzę w przyszłość, która nowe nieprzebrane, a nieznane skarby w sobie mieści. Zresztą już i tak dosyć było panowania gazy i koronek, dla od-

miany nieco więcej powagi nie zaszkodzi, a choć teraz cokolwiek będzie nudniej we Lwowie...

— A więc już powoli przychodzisz pani na moje podwórko, akcentując tak wyraźnie to słowo: we Lwowie.

— Nie w tym jednak znaczeniu, jak pan to pojąłeś. Rozumiałam we Lwowie jak i wszędzie indziej. Nie wznawiajmy jednak pogrzebanej już dysputy, gdyż nie przekonamy się wzajemnie. Na nudy jednak nie specjalnie lwowskie, lecz ogólno-postne, wynalazłyśmy sobie remedjum.

— A, słyszałem, słyszałem lecz czy mogę i pani powinszować, jako jednemu z członków nowego kasyna kobiecego?

— Tak panie, lecz mylisz się pan przedewszystkiem co do nazwy — nie jest to kasyno lecz czytelnia.

— Niech będzie czytelnia — lecz powiedz mi pani łaskawie, co tam właściwie robić panie będziecie?

— Jakto co robić? Wszak sama nazwa cel stowarzyszenia wskazuje.

— Więc tylko czytać?

— Przedewszystkiem komunikować się wzajemnie, czytać, krytykować, dysputować nad kwestjami przystępnemi dla kobiet, rozwijać poziom własnej inteligencji i t. d. Zresztą cel jest za jasny bym go panu rozwijać potrzebowała.

— Rozumiem. Cel nader piękny i szczytny. Pozwól jednak sobie pani zrobić kilka uwag. Przedewszystkiem jakiemi drogami zamierzacie dojść do tego celu? Zakładacie czytelnię. Pięknie. Lecz któż będzie do niej należał? Przedewszystkiem kilkanaście pseudo-sawantek i emancypantek, potem kilkanaście jak pani kobiet światowych, które nudy wielkopostne chcą urozmaicić, następnie kilkanaście kobiet, które każda nowość bawi — kilka drobnych jeszcze odcieni tych trzech głównych gałęzi i rachunek byłby skończony. Zebrawszy się tedy razem, będziecie panie czytać, krytykować — ładnie — dysputować nad kwestjami przystępnemi dla kobiet — pięknie — rozwijać poziom własnej inteligencji — cudownie! — A rezultat tego jaki? Oto, że sto kobiet inteligentnych w najlepszym razie — o czem śmiem powątpiewać — zyska coś umysłowo, jeśli naturalnie sawantki i emancypantki, nie przewrócą im głów zupełnie. Następnie sawantki wcisną głębiej jeszcze na nos złote okulary, emancypantki zażądają do czytelni bilaru i koniaku, kobiety światowe wrócą do swych dawnych nawyczek i już po ogniu słomianym.

— Fiu, fiu, rozgadałeś się pan na dobre i niepotrzebnie bawisz się w proroka. Lecz powiedz mi, cobyś pan chciał właściwie?

— Cobym ja chciał, pani? Przedewszystkiem chciałbym, byście dla każdej z sawantek założyły osobną czytelnię z zewnątrz na klucz zamykaną, byście dla każdej z emancypantek kupiły konia, ostrogi, beczkę koniaku, fajkę na długim cybuchu i wyprawiły je wszystkie do armji rumuńskiej, chciałbym, byście wy, kobiety światowe, zajęły się rozbudzeniem życia towarzyskiego we Lwowie, wszystkie zaś razem, tak biedniejsze jak bogatsze, tak mniej jak i więcej inteligentne, zajęły się inną emancypacją, nie objawiającą się zakładaniem czytelni dla siebie, lecz emancypacją upodlonego proletarjatu kobiecego z ramion nędzy i rozpusty. To jest wasz cel właściwy, to powinno każdej kobiecie na sercu leżeć i każda dążyć powinna do tego wszelkiemi możliwemi siłami. Odpowiesz mi pani, że mamy „Stowarzyszenie pracy kobiet", którego właśnie odłamem jest świeżo założona czytelnia? Tak mamy takie towarzystwo, lecz kończy ono na anemję z powodu braku środków i obojętności ogółu kobiet. Jeśli was się sto zebrało, powinnyście zamiast zakładać kasyno, wlać nowe życie w arterje bezkrwistego organizmu, wziąć się szczerze do pracy i postawić stowarzyszenie na takiej stopie, na jakiej w stolicy kraju zakład tak humanitarny stać powinien. Wówczas i prowincja z pewnością wstąpiłaby w ślady wasze i z dumą spoglądać mogłybyście na dzieło rąk waszych. O kobiety inteligentne wy się nie troszczcie. Kobieta inteligentna gdy się tylko chce kształcić, w ciszy swego buduaru przez miesiąc wykształci się więcej z pewnością, niż w kobiecem kasynie przez lat dziesięć. Nie tam miejsce do nauki.

— Na strasznie wielkiego wsiadłeś pan dziś konia. Na szczęście mnie nie zbyt cierniste naznaczyłeś pole pracy, każąc jedynie starać się rozbudzić życie towarzyskie Lwowa.

— Każdy, łaskawa pani, powinien pracować na tej cząstce winnicy pańskiej, na jakiej go urodzenie i wychowanie postawiło. Lecz prócz tego powinien według sił i czasu pracować w winnicy społecznej. Dla kobiet najszczytniejszą pracą jest emancypacja proletarjatu kobiecego z kału zepsucia i rozpusty. Wyrwijcie go z ramion hańby, nauczcie pracować, dajcie uczciwy kawałek chleba a ludzkość postawi wam wyższy pomnik niż szczyty Himalajów.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wna Jul. Dyd. w Gr. Dziękujemy serdecznie. Wkrótce użyjemy. Odpowiedź listownie.

Wny Leliwa pod Krakowem. Dziś właśnie.

Wny Karol Star. w W.

Kocham wiecznie cię,
Cudną buzię twę,
Tyś jak bukiet róż...

— Leży w koszu już!

Wny E. Bia. w Ost. Dziękujemy. Użyjemy wkrótce.

Wny Zar. w St. Dziękuję czebie Rafałuszku, ja mam w domu gęsz.

Wna Ol. Żel. Użyjemy.

„Drukarnia Polska" ulica Jagiellońska l. 16.